

WSPOMNIENIE

Helena, idąc wieczorem do łazienki, poczuła ciągnący od kuchni chłód. Weszła i zdumiała się. Okno było szeroko otwarte na wczesnojesienną noc, grządka na parapecie wyglądała całkiem profesjonalnie, zupełnie jakby uwiła ją Maja w ogrodzie.

– Babcia zesrałaby się ze szczęścia – mruknęła pod nosem, zamykając pospiesznie okno.

Podłoga za to przypominała istne pobojuwisko. I nigdzie nie było widać Adama Moritza. Westchnąwszy ciężko, zakasała ciasne rękawy sweterka i zaczęła sprzątać. Jednocześnie zakielkowała jej w głowie myśl, że te łatwe duże pieniądze wcale nie będą takie łatwe. Pojawiła się niepokojąca pewność, że zamieniła kłopotliwą, toksyczną matkę na tak samo kłopotliwego Dziadka, w dodatku całkiem niespokrewnionego, którego jedyną wymierną zaletą było to, że słono płacił za wynajem. To znaczy wtedy właśnie miała już pewność, że więcej sama włoży (uczuciowo) w ten biznes, niż wyjmie, a to już się jej bardzo nie podobało.

Nie podobało się jej z wielu skomplikowanych, jak całe jej krótkie, ale za to trudne życie, powodów. Otóż Helena chciała mieć wreszcie gładko. Wymiotła z mieszkania wszystkie babcine strachy, prawie udało jej się wymieść ze swojego życia Nietety Matkę. Wreszcie mogła po prostu być, bez nieustannej

kontroli, luksusowo samotna, samostanowiąca i oddzielna, a tu nagle... Helena nie chciała czuć się za kogokolwiek odpowiedzialna, a właśnie teraz z sercem w gardle sprawdzała, czy aby nie ma w toalecie lub łazience trupa. Obeszła dla pewności całe mieszkanie, zajrzała nawet do Lewego – na szczęście nie zamykał pokoju na klucz. Dziadka nigdzie nie było – ani żywego, ani martwego. Nie wiedziała, czy odetchnąć z ulgą, czy dalej się martwić. Z wieszaka w korytarzu zniknęła jego kurtka, zatem była szansa, że wyszedł za jakąś niecierpiącą zwłoki potrzebą i zaraz wróci. Ucieszona pogłośniła *Jeziro Łabędzie* Czajkowskiego i wsłuchiwała się z nabożeństwem przez kilka chwil. W którymś momencie wyciągnęła ręce lekkim gestem tancerki, nagle wcale nieobłożonej kilogramami zbędnego tłuszczu, i zawirowała na parkiecie w kunsztownych piruetach.

Tańczyła, dopóki stary zegar nie zaczął wybijać ósmej. Wtedy skojarzyła, że jej kuchenny lokator musiał porzucić swoje ogrodnicze zajęcia kilka godzin temu. W dodatku zaprosił ich przecież na kolację, która miała się zacząć o siódmej. Coś tu jest grubo nie w porządku – zastygła ze wzniesionymi w górę ramionami. – Co ja mam teraz zrobić? Zadzwonić na policję?

I wtedy w drzwiach stanęli Lewy i Adam Moritz, któremu usta się nie zamykały:

– Szliśmy przez ten las, ale brat już nie mógł iść, więc go nieśliśmy na zmianę. W końcu znalazłem kępę miękkich traw i tam go położyliśmy, z głową na kolanach mamy. Popędzała tatę: „Pędź, pędź, przynieść mu coś, co będzie w stanie przełknąć”. I poszedł, oglądając się co chwilę na nas z wyrazem beznadziejnego smutku, bez krzty nadziei w oczach...

Chłopak podtrzymywał mężczyznę, a raczej obejmował opiekuńczym gestem, o który nigdy by go nie podejrzewała, i dał jej do zrozumienia wzrokiem, żeby za nimi poszła. Zaintrygowana opuściła ramiona i ściszyła muzykę.

– Lewy! Zwariowaliście? – patrzyła, jak sadza mężczyznę na krześle.

– Wstawiaj wodę na herbatę i daj jakiś wełniany koc – powiedział cicho, jakby nie chcąc przerywać monologu Moritza, ale ten i tak zamilkł.

– Przepraszam za kłopot i za to – wskazał ręką idealnie czystą podłogę.

– Co się stało? – chciała wiedzieć.

– Lecę na tę proszoną kolację spóźniony i aż mnie skręca z głodu. Ostatnio Adam takie jedzenie zaserwował, że specjalnie chińczyka nie zjadłem, żeby się delektować – wyznał uczciwie Franek. – Przez park lecę. Patrzę, a tu nasz genialny kucharz na ławce w ciemnościach na gnat zamarza.

– No i?

– No i go wsiorbło – wyjaśnił chłopak. – Całkiem na amen!

– Tak – potwierdził Adam. – Dokładnie tak było, jak się wyraził, wsiorbło mnie. Bardzo adekwatne, choć mocno nowatorskie określenie, jak mniemam od „siorbać”, czego mi w dzieciństwie u dziadka, mojego drugiego dziadka, bo pierwszy był piekarzem, całkowicie nie wolno było robić. Przepraszam, muszę na chwilę wyjść – powiedział i udał się do łazienki.

– No i? – z niecierpliwością powtórzyła Helena, chcąc wiedzieć więcej.

– No i? Co to było? – stanął jak baletnica z dłońmi nad głową.

Widział, gnojek! – zaczerwieniła się. – Po co mi oni byli, ci sublokatorzy? Po co? Mogłam to przewidzieć, że nie da się krążyć po jednym mieszkaniu i orbitami nie zawadzać. Trzeba było sprzedać, kupić mniejsze i zatrudnić się w jakimś sklepie z odzieżą XXL lub odżywkami dla odchudzających się, zamiast rentierkę zgrywać.

– Powiem, jak mi wyjaśnisz, co to było – powtórzył gest, a nawet próbował zawirować wokół własnej osi.

– Nie wtrącaj się! – syknęła z nienawiścią. – Tak sobie trochę skakałam dla relaksu – wycofała się natychmiast, widząc w jego oczach niebotyczne zaskoczenie.

– Skakałam sobie? – powtórzył wolno. – Dobrze, skoro tak wolisz... – westchnął ze smutkiem, bo chciał coś o niej wiedzieć, cokolwiek... – Otóż idę sobie wesolutko, a tu on – wskazał palcem w głąb mieszkania. – Sam. W parku. Jak rzeźba Kamińskiego w parku Staromiejskim albo Jan Karski z parku Ocalałych przeniesiony lub zduplikowany w ramach jakiegoś nowego projektu. Ale nie, podchodzę bliżej, a to on – nasz Adam Moritz siedzi jak przyśrubowany ze szklistym wzrokiem, ale oczami chodzącymi na okrętkę.

– Na okrętkę?

– Tak, właśnie tak – westchnął przejęty, wymachując zbyt długimi rękami i szykując wielki kubek herbaty. – A sam się napiję, bo też z nim trochę podumałem.

– Przejdź, Lewy, do rzeczy – wrzasnęła wściekła – bo już dłużej tej twojej homeryckiej retardacji nie wytrzymam!

– O! Jaka mądra! Dobrze, już mówię. Witam się, a on nic. Całkowicie nieobecny. To znaczy tu, na tej ławce, ciałem – obecny, ale duchem to już całkiem gdzie indziej. Trzęsie się.

Złapałem go za łokieć, nic – chłopak odgrywa przed Heleną całą pantomimę, a ona patrzy z zawodowym zainteresowaniem, jak jego sylwetka odbija się w błyszczącej lustrzanie podłodze. – Potrzęsam jego lodowato-trupią dłonią. Adamie, to ja, Franek Czajka. Wtedy dopiero zamrugał i mnie zobaczył, a jak mnie zobaczył, to od razu, no, można powiedzieć z biegu, zaczął mówić. To było... To było jak woda, która przerwała tamę. Wiesz, że on jest Żydem?

– Żydem? – spytała. – Takim, co nas o nich w szkole uczyli? – upewniła się.

– Takim samiuśkim! – potwierdził. – Takim, co ich było dużo, a teraz ich prawie nie ma, ale i tak mówi się, jakby dalej byli, a nawet jakby ich było więcej niż przedtem.

– O Jezu! Holokaust – jęknęła. – Będę to jeszcze raz przerabiała? I tak nie mogłam wtedy po nocach spać.

– No i jeszcze sobie posiedzieliśmy w ciemnościach, bo akurat daleko od latarni tkwił. Fontanna ciurkała takim lichym strumieniem, a on jej wtórował tym swoim dystygowanym, wyważonym głosem. A kiedy mu się wargi prawie granatowe zrobiły, bo nagle temperatura spadła, albo nam się od bezruchu zimno zrobiło, to prawie siłą go z tej ławki zdarłem i do domu sprowadziłem – opowiadał dumny z siebie niesłychanie Franciszek Czajka. – To pewnie od tej dzisiejszej wizyty tak mu się porobiło, od wspomniania z tą sąsiadką czy znajomą. W jednej kamienicy chyba mieszkali w czasie wojny. Ta kamienica stoi w granicach getta. Wiem, bo mi moja redaktorka opowiadała.

– I co?

– I nic. Coś mu musiała przypomnieć, ale nie powtórzył, choć obiecał – rozżalił się trochę. – Powiedział, że wszystko

musi sobie ułożyć na nowo w głowie. Wtedy nam opowie. Nie mogę się doczekać.

– A ja wprost przeciwnie!

W tym momencie wszedł Moritz. Odświeżony i okryty czerwonym pledem z długimi frędzlami, którymi zamiatął podłogę. Nawet nie był tak całkiem siny jak w chwili, kiedy go zobaczyła. Bez słowa wcisnęła mu do ręki kubek z herbatą. Chwytał go i przytulił do piersi jak dziecko. Chłopak podsunął mu krzesło.

– I co było dalej? – spytał delikatnie.

– Przepraszam, że muszę mówić – zwrócił się do Heleny. – Ale albo teraz, albo nigdy. Przypomina mi się całymi fragmentami, coś jak puzzle, choć jeszcze nie widzę całości.

ZWĄTPIENIE

Uciekli z miasta. Nie chcieli dać się zamknąć w getcie. Ukrywali się po wioskach, a od wiosny w lasach. Ojciec miał lepszy wygląd i poszedł szukać żywności. Adam z matką i młodszym bratem zostali w lesie.

– Wtedy mój brat Henryczek umarł z głodu. Nigdy nie miał specjalnego apetytu, a w czasie naszej wielkiej ucieczki po prostu odzwyczaił się od jedzenia. Był taki blady, taki blady. Siadzieliśmy w krzakach, a on przysypiał, ciągle przysypiał, jakby mu się do tej śmierci spieszyło. Wpatrywaliśmy się w niego